

Nie umiem wyrzucić człowieka

ANNA DYMNA, gdy trzeba, lubi zakląć. Jak dama. Martwi się, że baby robią wszystko i chłopcy są w zaniku. Zbiera to, co kruche. I już wie, co ocala. Mówiła nam o tym w drodze z Krakowa do Rybnika.

Uwielbiam kierować! – mówi podekscytowana. W zielonej sukni, z rozpuszczonymi włosami wygląda nobliwie i zwyczajnie. I taka właśnie jest: kontrastowa. Na powitanie podaje mi rękę. „Gdyby jeszcze pięć lat temu ktoś mi powiedział, że będę prowadzić samochód, stwierdziłabym, że zwariował!” – śmieje się głośno. „Lubię jeździć szybko. Ale moje auto przy 170 kilometrach na godzinę wydaje z siebie takie dźwięki, jakby odlatywało! Mamy czas. Pojedziemy pomalutku” – śmiech ma zaraźliwy.

Jej życie płynie w drodze między spotkaniami z niepełnosprawnymi. „Umiem być potrzebna. A jakbym miała nie być potrzebna, umiem tak zrobić, żebym była” – wyjaśnia. „Sprawdzam siebie jako człowieka” – dodaje. Zawsze wierna teatrowi, uczy teatru niepełnosprawnych.

Nie czuje w życiu gwałtownych zmian, chociaż zmieniła środek ciężkości. „Cieszę się każdym rokiem. W głębi duszy jestem dziś o trzydzieści kilka lat starszą Anią Pawlaczką” – zapewnia. I wylicza, że tak samo cieszy się słońcem. Tylko kręgosłup bardziej ją boli, nie pali papierosów, jest grubsza. „Zmieniam się, bo mija czas, ale nie staję się kimś innym” – wzrusza ramionami. „Nie mogę wciąż tylko: »dziadku, dziadku!« i tak przez całe życie. Młode kobiety są piękne, wszyscy się za nimi oglądają i łatwo im się żyje. Po trzydziestce okazuje się, że to już nie jest główny walor i że trzeba jeszcze na przykład być człowiekiem. A po pięćdziesiątce to się okazuje, że jak się rozryczysz, powiedzą ci: co ta stara krowa ryczy?! I to znaczy, że trzeba sobie znaleźć inne wartości poza urodą. Ciało ma swoje prawa. Można się podcinać, podryzać, wysysać... i udawać w wieku 70 lat, że się ma 40.

Tylko że to jest wyniszczanie psychiki.” Jej radą na przemijanie jest harmonia w sobie.

„**Biegłam, walczyłam o siebie.**” Nawet gdy mówi o gonitwie i o walce, głos ma bardzo łagodny. Teraz już się nie spieszy. Mijają nas pędzące samochody. „Co pan tak patrzy na mnie, że sobie jadę powoli?” – zagaduje kierowców. „Jadę powoli, bo jestem dama!” – uśmiecha się w lusterko. „Młody człowiek najpierw rozgląda się po świecie, zaczyna coś lubić i znajduje swoją drogę. Idzie nią i stara się do czegoś dojść. I Anusia Pawlaczka biegła. Ludzie we mnie inwestowali. Byłam bardzo pracowita” – wspomina początki kariery. „Pewnego dnia przyszli do mnie inni i zaczęli pytać. Już byłam kimś, byłam wiarygodna, stałam się opiniotwórcza. A jak człowiek się starzeje, zaczyna wolniej biec” – wyjaśnia. „Przystaje czasami. Zaczyna się zastanawiać, czy warto



na co dzień tego nie robimy, tylko tracimy czas na oddalanie się od siebie.”

„Mam swoje skarby, swoje kleszcze.”

Dosięła jej śmierć męża, pożar domu, ciężki wypadek. To po nich Ania Pawlaczka podniosła się silniejsza. Przechowuje w pamięci spotkania z ludźmi. „Bo człowiek w życiu zbiera bagaż. Jakies skarby i jakieś kleszcze. Patrzą, co mam, i tym gospodaruję” – tłumaczy zamyślona.

Zbiera chwile. Na przykład tę, w której zobaczy piękny obraz. „Na czym to polega – nie wiadomo, bo życie niby się nie zmienia. Co z tego, że zobaczysz »Słoneczniki« van Gogha? No nic. Ale coś się jednak zmienia. Albo – poznasz takiego człowieka jak Miłosz. Parę rozmów i już nie jest tak samo. Rodzi się dziecko, odchodzi, zakłada rodzinę, ale to wciąż moje dziecko. Coś najważniejszego. To moje wspomaganie w życiu. Moje skarby.”

Droga za oknem mija powoli. „O, Bażant! Głupi, olów wdycha!” – mimo szybkości, podziwiała widoki za oknem. „Z każdej podróży przywoziłam małe szklane zwierzątko. Kiedyś tylko za granicą można było je kupić. Moja kolekcja była cenna, bo nie chodziło o te zwierzątka, tylko o symbole, przeżycia, przygody. A potem ludzie wiedzieli, że mam kolekcję i dostawałam prezenty. Od Kasi Figury z Londynu małego, ślicznego gołąbka. Od Dorotki Segdy z pierwszego festiwalu filmowego gdzieś we Francji – psa. Dorotka Pomykała kupiła najmniejszego na świecie krabika, takiego na trzy milimetry. A zaczęło się od tego, że miałam potworny wypadek samochodowy na Węgrzech. Potem spaliło się moje mieszkanie. I poznałam studentów prawa, którzy przyszli do mnie po wywiad. Po wypadku uczyłam się chodzić i oni bardzo mi pomagali. W remoncie domu, w życiu. Od Łukasza z drugiego roku prawa dostałam zieloną żabkę ze szkła. Nosila ją w torebce. I dymny kamień, z nim się nigdy nie rozstaję” – jednym ruchem wyciąga z torebki okrągły czarny i szorstki przedmiot. „Z tej żabki szybko została miazga. Nie miała nóżek, dupci, bo była koło kamyczka. Więc tamtej żabki nie mam. Kupiłam sobie nową.”

bre. „Mam koty. Dwa, ale tak naprawdę to o wiele więcej. Przyszli taki jeden, wielki, rudy, po prostu Książę – teraz chce być mój. Znalazłam właścicieli, ale on z uporem maniaka wraca. Dostają od kotów myszy, czasem wielką normicę. Już się na tym znam: myszy są najlepsze, normicę też można zjeść, choć za tłusta. I ryjówki dostają, choć ryjówek się nie je. Kiedyś nawet Czacza zmięła mi przyniosła. Mieszkam w rajku dla kotów. I ja też jestem tam szczęśliwa. Tylko nie mam czasu, żeby pomieszkać” – ze śmiechem wraca do realiów. „W kuchni stoi pianino. Są na nim dwie figurki. Mają w sobie coś takiego, że kto przyjdzie, ustawia je w niestworzone erotyczne pozy. Książdz był po kolędzie, a tu na pianinie rozpusta! I ogródek piękny sobie zrobiłam. Nawoziłam go łajnem przepiórczym przez 4 lata, ale mi się nawóz skończył. Więc apeluję do hodowców przepiórek: ja chcę trochę przepiórczego gówna!”

„Won z domu.” Lubi sobie pokłuć. „I Neneke klęła okropnie” – mówi o roli w „Wiedźminie”. „Ale nie mogłam tego, niestety, tak zagrać, jak jest napisane! Podobna była do mnie: też taka kuleczka. Ostra dosyć. Ale łagodna” – ani zawiadziaki ton, ani dosadność określić nie ujmują Dymnej wdzięku. „Miała wszystko to co ja. Silna, a słaba. Znała tajemnice. Dbała, żeby zachować na ziemi wartości, które zanikają. A ja przez całe życie chciałam ocalić spotkania. Żeby ludzie rozmawiali ze sobą. Żeby umieli koło siebie posiedzieć i pomilczeć. Żeby się nie odgradzali techniką. A zaczęło się od mojego syna. Przeczytał Tolkiena, a potem całego Sapkowskiego i powiedział: matka! Neneke to ty! I to prawda.”

Ma dorosłego syna. „I mam strych, w którym mieszkalam z Dymnym. Tam spędziłam najpiękniejsze chwile mojego życia, tam się urodziło moje dziecko, tam to dziecko teraz mieszka.” Był czas, że myślała, że już nie będzie matką. Syn jest największym skarbem jej życia. Późnym dzieckiem. „Żeby nie był wychuchanym, bezczelnym maminsynkiem, bo nienawidzę takich, zawsze mu mówiłam: Misiu, kończysz lat 18, dostajesz się na studia – won z domu! Jak skończył

„Dostałam Superwiktora za całokształt, więc dokładnie nie wiem za co. Może jako aktorka jestem ważna, bo coś tam zrobiłam. Ale też sprawdzam, czy jako człowiek jestem coś warta. Udowadniam sobie, że mogę się przydać.”

tak samemu biec? I tak dla siebie wszystko? I zaczyna myśleć: fajnie by było komuś podać rękę i razem z nim biec.

Inaczej można kupić sobie jeszcze coś, dom zbudować, na konto odłożyć, jeszcze gdzieś pojechać... W pewnym momencie okazuje się, że to nie wystarcza. Że w życiu prawdopodobnie chodzi o coś innego. I zwykle ludzie dochodzą do tego, że ważne, czy inni są dookoła, i żeby zacząć dla nich coś robić. Niepełnosprawni umysłowo wiedzą dokładnie, jakie są prawdziwe potrzeby człowieka. Przykuci do wózków, zredukowani chorobami – uczą, co człowieka ocala. Bo człowiek zdrowy się gubi, a chory się ocala. Oni wiedzą, że najbardziej w cierpieniu pomagają inni ludzie. To, że cię dotknie, przytuli. A my

„Muszę mieć swój azyl.” To postanowienie, którego nigdy nie złała. Zawód publiczny, pełen napięć i stresów, wymaga odskoczni. Trzeba mieć normalny dom. Ostro fuka, gdy pytam o bliskich. „Nie zgadzam się na propozycje: »szafa Dymnej«, »łóżko Dymnej«. Mieszkam w Rządce pod Krakowem. Marzyłam, żeby rano wychodzić na własną trawę na bosaka. Pamiętam, jak posadziłam pierwszą w życiu poziomkę, i jak zapylila ją pędzelkiem w puszcze po narzędziach mojego ojca. I jak cztery poziomki dzieliłam na pięć osób” – opowieść o domu rozaniela ją na do-

15 lat, przestałam mu to mówić. Jakoś tak, na wszelki wypadek... Niedawno dostał się na studia, stanął przede mną biedny i powiedział: mamunia, już! Ja na to: jak już? A Michał: no, matka, spakuj mnie, bo won z domu się zbliżyło!”

Dymna wie, że nie ustrzegłaby się, żeby nie mówić: synek, paliłeś? synek, o której wróciłeś? „Nie ma na to siły. Każda matka będzie tak gadać, a każdy synek powie: matka, odczep się! I będzie miał rację. W związku z tym myśmy odcięli pepowinę. Pamiętam, co robiłam, jak miałam 17 lat. Chodziłam do piwnicy, poznałam Dymnego...”

↳ Miękość znika, gdy mówi o wychowaniu dziecka. „Pracowałam. Trzeba było o czwartej rano wstać, to wstawałam. Spałam po dwie godziny na dobę, w pociągach, w samochodach... W tym czasie przeczytałam Michałowi wszystkie książki dla dzieci, jakie w Polsce wydano – w namiocie na wakacjach, w domu, jak tylko wracałam z trasy. Syn też późno chodził spać. Kiedyś powiedziałam niani: co za upierne dziecko, w ogóle nie sypia! A on sypiał w dzień, gdy mnie nie było. A w nocy wołał: mama! mama! Chciał kontaktu. No to miał. Ja na szczęście nie muszę dużo spać. Jak był mały,

nie zrezygnowałam z niczego. Nie ma nic głupszego, jak kobieta rodzi, ma 34 lata i nagle szaleje, rzuca wszystko, a potem mówi: gówniarzu, ja dla ciebie poświęciłam karierę! A dziecko: matka, kto ci kazał? Ja? Ja wtedy byłem malutki! Dziecko było moim największym marzeniem i to jest mój największy sukces. A teraz syn już jest dorosły. Musi być wolny, popełniać swoje głupoty.” Nie obawia się, że będą wielkie, bo z Michałem nie było kłopotów. Nigdy się nie buntował. „Właśnie dlatego, że ja w domu byłam rzadko, mieliśmy dobry kontakt. Musiał być samodzielny. Nigdy mu nie mó-

wiłam, w co się ma ubrać. Sam decydował o wszystkim. Jak byliśmy razem, wiedzieliśmy, że mamy mało czasu dla siebie, więc wykorzystywaliśmy go bardzo intensywnie.”

„**Chcę służyć mężczyźnie.**” Zawsze była otoczona mężczyznami. „A mężczyzn trzeba kochać albo wywalać z domu” – wyjaśnia pogodnie. „Oczywiście lepiej kochać.” I skromnie zastrzega, że nie zawsze byli to jej mężczyźni. „Gdybym powiedziała, co myślę o mężczyznach, feministki by mnie zabiły. Bo uważam, że kobieta powinna być kobietą, a mężczyzna mężczyzną. Tymczasem kobiety myślą w większości coś innego. Udają mężczyzn, zabierając im w ten sposób wszystko – sens bycia mężczyzną. Same chcą sobie dzieci robić, same chcą wszystko robić!” – wzdyga się na myśl o takim świecie. „Ja chcę służyć mężczyźnie, wachlować go, gotować, rodzić mu dzieci, a on ma się mną opiekować. Pieniądze ma na mnie zarabiać. Tak powinno być w życiu!” Wie, że wtedy oni by robili to, czego od nich chce. „Mężczyzna ma być silny, macho, ma uprawiać męskie zawody, a ja mam być kobietą: delikatną, bezbronną. Tymczasem baby robią wszystko za chłopów i chłopcy są w zaniku. Teraz mam Krzysztofa – Krzysztof Orzechowski, mój mąż, mężczyzna, który jest najdłużej ze mną. Pomagał mi i ja mu pomagałam, odkąd zaczęliśmy razem mieszkać. Różnie to bywało, ale pomagamy sobie nadal” – kończy. I więcej o tym nic nie powie.

„Nie lubię mówić o tych, z którymi jestem, bo to przynosi pecha” – ucina zdecydowanie. „O Wiesławie Dymnym zaczęłam mówić, bo on nie żyje już 27 lat. Jest niezwykle istotną osobą w moim życiu. Najistotniejszą. Poznałam Dymnego, jak miałam lat osiemnaście. Ja przy nim rosłam, przy nim stawałam się kobietą. Byłam jego żoną na początku wszystkiego, co się ze mną w życiu działo. To on ustawił mnie na całe życie” – mówi. Dymny z jej wspomnień nie jest kontrowersyjny ani dziwny. Kamień od męża nosi przy sobie do dziś. Nie snuje wspomnień, bo kiedy mówi: „Tak okrutnie mnie zostawił” – ludzie jej nie rozumieją.

„**Robiłam dla Miłosza barany.**” Czesława Miłosza spotkała w kinie. „Grałam w »Dużym zwierzęciu«, była premiera, ciemno jeszcze, wychodziłam z rzędu. Złapał mnie za rękę jakiś pan i nic nie mówił. Mąż szepnął: to Miłosz! Przestałam oddychać – noblista, wielki poeta, ktoś nieosiągalny trzyma mnie za rękę! A potem dostałam od niego list. W kopercie z pieczętką, jakby dziecko zrobiło ją z ziemniaka, z napisem »Czesław Miłosz«. Napisał, że wtedy nic nie powiedział, bo nie wiedział co. I Miłosz kojarzy mi się z taką ciepłą, suchą ręką. Bo słów zabrakło. Nobliście.”

Na święta dostawał barany upieczone przez nią z chleba. „Podpisane, na wszelki wypadek, żeby nie pomyślał, że to pies jakiś albo małpa, bo różnej bywały jakości” – podkreśla z dumą. Przecho-wuje w pamięci ostatni spacer z mistrzem. Wspólne popołudnie na tarasie w jej ogródku. Bakłażany po ormiańsku, sałatkę szopską, którą bardzo lubił, i wino. „Siedzieliśmy na drewnianym tarasie... Moje koty specjalnie się na noblistach nie znają, Czacza na niego wskoczyła i zaczęła pazur-



„Mieszkam w raju dla kotów. I ja też jestem tam szczęśliwa. Tylko nie mam czasu, żeby pomieszkąć.”



„Żeby nie był wychuchanym, bezczelnym maminsynkiem, bo nienawidzę takich, mówiłam: Misiu, kończysz 18 lat, zdajesz na studia – won z domu! Jak skończył 15 lat, przestałam.”

kami udeptywać. Mówię: Czacza, to noblista, pan profesor! A mistrz na to: niech pani zostawi tego kota, ja lubię koty. Kiedy zaczęliśmy się widywać, zawsze mi mówił: pani mnie do zoo zawiezie. I nie zdążyłam już, bo... Nie zdążyłam. Po prostu.”

„Zbieram ludzi.” Zajmuje się dziwnymi splotami losów ludzkich, rzadkimi chorobami, tragediami. „Na tym polega mój program w telewizji” – tłumaczy. Bała się, że ludzie zniechęcą ją po audycjach, w których w chwili słabości opowiedzieli straszne rzeczy o sobie. „Ale okazuje się, że mnie lubią” – mówi. To jej największe zwycięstwo. „Po programach jest mi trudno. Tłumaczę sobie, że oni chcą to powiedzieć. Oczyszczają się, wypływają i łatwiej im się żyje. Choć mieszkają w tym samym mieszkaniu i zarabiają tyle samo, świat inaczej ich traktuje” – wyjaśnia z pasją. Budują ją te zwycięstwa: dziewczyna ze schizofrenią po programie przestała być odsuwana, sąsiedzi zaprzyjaźnili się z nią. Program odwstydzia. Pokazuje, że choroba to nie diabeł.

Kiedy parkujemy przed Teatrem w Rybniku, gdzie trwa święto niepełnosprawnych, na widowni jest pełno. Dla zebranych Anna Dymna to najlepsza przyjaciółka. Przez godzinę rozmawiają z nią o sprawach zwykłych, codziennych i tych najważniejszych w życiu. „Napisał mi kiedyś jeden facet: »Ten pani program tak mnie wkurzał! Siedzę i oglądam, ale nie mogę patrzeć na takie kalectwo, na taką chorobę! Gaszę telewizor i myślę: nie, ja muszę to zobaczyć! Jak się kończy, nie przestaję myśleć o tym, co widziałem. Ja po żadnym filmie tak nie myślę!«” – z błyskiem w oku opowiada, co

ludzie piszą jej w listach – jak głupio żyją, jak tracą czas, jak chcą po programie to zmienić. „Dostaję tysiące dziwnych zdjęć. Trzymam je, bo nie umiem wyrzucić człowieka” – zapewnia.

Ludzie zapraszają ją na wszystko. „Czasem wierzą, że spotkanie ze mną pomoże im bardziej niż lekarz” – mówi. Złości ją przekonanie, że Dymna dobra jest na każdą okoliczność. „Oczywiście ho-

norowo: »Pani przyjedzie, u nas jest ślicznie, pani posiedzi, pani odpocznie«. Ja nie mam tyle czasu, żeby odpoczywać! Ale zapraszają mnie. Na przykład na otwarcie żłobka mojego imienia. Albo sali gimnastycznej przy zespole szkół dla niepełnosprawnych. Odpowiadam: jak może być mojego imienia? Przecież ja żyję jeszcze, proszę pana!”

EWA SKOWROŃSKA



Z prawej: Anna Dymna z mężem Krzysztofem Orzechowskim, dyrektorem Teatru Słowackiego w Krakowie. U góry: z niepełnosprawnymi, którym opiekują się jej fundacja „Mimo wszystko”. „Ma moją twarz, serce i duszę. Założyłam ją, żeby pomagać ludziom okaleczonym przez los.” Wsparcie dla fundacji można kierować na konto: 70 1050 1445 1000 0022 7599 1459.

